

Wyspa lalek. Jedno z najbardziej przerażających miejsc na ziemi.



Wys

Wyspa Lalek, położona w dzielnicy Xochimilco w południowej części Mexico City, to niewątpliwie jedno z najbardziej przerażających miejsc na ziemi. To miejsce należące do tysiąca upiornych lalek, które według legendy ożywają, śmieją się, szepczą i poruszają kończynami. Do lalek wiszących na drzewach, poprzybijanych gwoździami do pali, strzegących wyspy oraz osób, które na niej zginęły. To miejsce omijane szerokim łukiem przez wszystkich, którzy mają choć odrobinę zdrowego rozsądku i doskonale wiedzą, że spokoju na wyspie nikt nie powinien zakłócać.

O Wyspie lalek napisałam książkę. Nie jest to rasowy horror, lecz do takiego niewiele mojej książce brakuje. Jeżeli temat Was wciągnął, przeczytajcie jej krótki fragment. A jeżeli zachęci Was na tyle, by sięgnąć po więcej oraz po inne książki, które napisałam, obejrzyjcie sobie to: https://www.youtube.com/watch?v=cHX_D7mU7X8

Oto krótki fragment "Wyspy lalek". A w nim... **Gabriela Montesinos ukrywająca się w szopie.**

Deszcz przestał padać kilka minut po trzeciej. O tej porze cała wyspa przypominała jedno wielkie bajoro, po którym nie sposób było się poruszać. Przesiąknięty wodą grunt zapadał się za każdym razem, kiedy próbowano po nim stąpać. Niebezpieczeństwo czyhało wszędzie, w miejscach bardziej i mniej uczęszczanych. Wyczerpana, głodna i zziębnięta Gabriela Montesinos powolnym krokiem kierowała się w stronę domu. Osiem godzin bez wody i jedzenia niewątpliwie zrobiło swoje, nie mówiąc już o warunkach, w jakich przyszło jej spędzić ten czas. Dopiero teraz rozumiała, ile prawdy było w tym, co mówił Santiago, kiedy radził, by odłożyła pracę na dzień następny.

Pomimo że zabezpieczenie szkieletów zajęło jej niewiele ponad pół godziny, doskonale zdawała sobie sprawę, że powrót do domu przy takiej pogodzie był dość ryzykowny. Ulewa nie ustępowała ani na chwilę, a wiatr wzrastał się coraz bardziej. Będąc na otwartej przestrzeni bez dostępu do jakiegokolwiek schronienia, postanowiła udać się w stronę lasu i odnaleźć drewniany dom, o którym opowiadał jej Santiago. Dom ten raczej miał przypominać szopę,

ale w sytuacjach kryzysowych, takich jak ta, stanowił idealne miejsce na przeczekanie. Bo zawsze to lepiej siedzieć w małej, suchej szopie niż pod gołym niebem, na mokrym kamieniu i na dodatek w towarzystwie szkieletów. Jak się okazało, znalezienie domu na szczęście nie było zbyt skomplikowane.

Po kilkunastu minutach w miarę szybkiego marszu, Gabriela Montesinos dotarła do niewielkiego, drewnianego zabudowania położonego w głębi lasu. Drzwi były otwarte. Kiedy znalazła się w środku i po raz pierwszy od dłuższego czasu nie czuła już spadających na głowę kropli deszczu, odetchnęła z ulgą. Bardzo powoli zdjęła z siebie ociekający wodą płaszcz i rozłożyła go na jednym z dwóch krzesel. Następnie przeczesała dłonią skręcone pod wpływem wilgoci włosy, osuszyła swetrem twarz i z wielką ulgą usiadła przy stole.

Dopiero po dłuższej chwili była w stanie myśleć o czymś innym niż o dudniącym za oknem deszczu. Uważnie rozejrzała się po jednym jedynym pomieszczeniu i natychmiast zaczęła mieć wątpliwości czy przychodząc tutaj, nie popełniła błędu. Pomieszczenie rzeczywiście było suche, bezpieczne i zdecydowanie lepsze niż otwarta przestrzeń podczas ulewy. Niemniej jednak... Czy przebywanie tutaj nie wiązało się z innym ryzykiem? Być może nawet gorszym od zwykłego wyziębienia?

Gabriela przełknęła ślinę i na wstrzymanym oddechu patrzyła prosto przed siebie. Na znajdującej się tuż naprzeciw ścianie wisiał obraz. Obraz przedstawiający starszego, patrzącego w stronę nieba mężczyznę o pomarszczonej, spalonej słońcem skórze, niezbyt starannie przyciętych wąsach i krótkiej, siwej brodzie. Miał na sobie stare, wytarte ubranie i zawiązany wokół szyi ozdobny sznurek. Wyglądał na wyczerpanego. Jak gdyby patrząc w górę, szukał bożego wsparcia. Jak gdyby w skrawku czystego, wypełnionego słońcem nieba starał się znaleźć spokój, ukojenie, a może nawet ratunek. Przed czym? Tuż za nim, w tylnej części obrazu rosnęło drzewo. Niewielkie drzewo o prostych, cienkich gałęziach i małych, zielonych listkach. A na nim... Wisiały one. Cztery szmaciane lalki. Dwie z nich duże, pozbawione ubrań i porośnięte pleśnią, znajdowały się w górnej części korony. Dwie pozostałe mniejsze, przytwierdzone gwoździami do cienkiego pnia, pozbawione rąk i nóg, wydawały się lekko przypalone.

Obraz ten z jednej strony wzbudzał pewnego rodzaju sympatię i litość do patrzącego w stronę nieba mężczyzny. Z drugiej jednak niepokój, odrazę i wstręt do wiszących na drzewie lalek. Pomimo że w dolnej części obrazu widniał jedynie napis *17 kwietnia 2001*, Gabriela Montesinos doskonale wiedziała, co oznaczał. Santiago wielokrotnie opowiadał jej o zamieszkującym wyspę człowieku, który w tajemniczych okolicznościach zginął tego właśnie dnia.

Julián Santana Barrera. Tak się nazywał. Przez bardzo długi czas pracował na wyspie, opiekując się nią najlepiej, jak potrafił. Pomimo że do jego obowiązków należało głównie czyszczenie kanałów, on dawał z siebie więcej, niż ktokolwiek od niego oczekiwał. Poświęcił temu miejscu całe swoje życie. On i jego rodzina. Wraz z żoną i córeczką mieszkał w małym, drewnianym domu położonym tuż przy pomoście, do którego co jakiś czas przybijały łodzie. Miejscowa ludność szanowała go za to, kim był i co robił. A robił wiele. Oprócz pracowitości słynął również z niezwykle pogodnego usposobienia i serdeczności wobec ludzi, z którymi się stykał. Lubił żartować z przewoźnikami, śmiejąc się i opowiadając historie, jakich doświadczał podczas czyszczenia kanałów. Uśmiech praktycznie nigdy nie znikał z jego twarzy. Aż do tamtego dnia.

Gabriela nerwowo rozglądała się po pomieszczeniu, szukając czegokolwiek, co przypominałoby o jego córce. Kołyski, grzebyka... Czegokolwiek. Podobno w każdym domku, w każdej szopie i w każdym, choćby najmniejszym schronieniu na wyspie można było znaleźć coś, co należało właśnie do niej. Po to, by uczcić jej pamięć. By nadal żyła wśród tych, którzy pozostali. I rzeczywiście. Nawet tutaj, w tym skromnym, znacznie oddalonym od przystani domku wisiała przybita do ściany para białych bucików. Białych, mocno zakurzonych i zniszczonych przez bezlitośnie upływający czas bucików. Odkąd tu zawisły, nikt ich nie czyścił ani nie dotykał.

- Nie wolno tego robić - powtarzał Santiago. - Bo zmarłych i należące do nich rzeczy trzeba zostawić w spokoju.

Oprócz tego jednego niewielkiego obrazu i pary białych bucików w domku znajdowało się kilkadziesiąt lalek. Zajmowały ściany, podłogę, sufit, drzwi i okna. Były wszędzie. Jedne mniejsze, drugie większe. Jedne bardziej, drugie mniej zniszczone. Wszystkie jednak tak samo szkaradne i odrażające. Pomimo że uśmiechały się niewinnie, a ich oczy, o ile w ogóle jeszcze znajdowały się na swoim miejscu, miały w sobie coś tak strasznego i przenikliwego, że nie sposób było w nie patrzeć.

Gabriela czuła, jak przez jej ciało przechodził zimny dreszcz. I wcale nie spowodował go chłód przenikający przez szpary domu. Oddychając najspokojniej, jak tylko umiała, i szukając wsparcia w skierowanym ku niebu wzroku widniejącego na obrazie mężczyzny, próbowała uspokoić nerwy. Próbowała przetrwać ten czas, który nie wiadomo, jak bardzo miał się jeszcze wydłużyć. Bo deszcz ciągle padał. Padał z coraz większą siłą i nic nie wskazywało na to, że za chwilę miało pojawić się słońce.

Po więcej wrażeń zapraszam na www.isabelfuentesguerra.com

Autor: Isabel

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl